

# Dziki ziele





MARIA DĄBROWSKA

## Dzikie ziele

Rano do dnia<sup>1</sup> Marynka szorowała skopki<sup>2</sup> i bańki przy małym stawie. Było jeszcze szaro. Liście drzew stojących ponad wodą wisiały nieruchomo, a tarcie wiechcia o żelazne obręcze budziło odgłos na drugim brzegu. Za drogą w dworskim ogrodzie coś wzniecało w krzakach jakby kaszlnięcia i szeptania.

Podwórce majaczyło we mgle buro i niewyraźnie. Po małym czasie zaczęło się tam jednakże coś rozlegać i na drogę wypłynął wóz, cicho sunąc po szarym piachu i postukując niegłośno. Fornal<sup>3</sup> siedział bokiem, z bosymi nogami zwieszonymi przez drabki, pogrążony w gwizdaniu.

Gdy zobaczył dziewczynę między wierzbami, przestał gwizdać i zakrzyczał w jej stronę:  
— Mogłabyś ty kiecuchny<sup>4</sup> barzy<sup>5</sup> podnieść i te giry<sup>6</sup> umyć, kiej<sup>7</sup> u wody stojas<sup>8</sup>, nie s takimi cornemi<sup>9</sup> chodzić!

Marynka wyprostowała się, żeby zobaczyć, kto jedzie, gdyż mówił nie po tutejszemu. Ma się rozumieć — nie był to żaden z fornali, tylko bandos<sup>10</sup>, nazwiskiem, o ile pamiętam, Słupecki.

Jechał widać za Banasiaka, bo jego końmi, a o Banasiaku wczoraj mówili, że na brzuch leży.

Zobaczywszy, jak rzeczy stoją, Marynka odgryzła się napastnikowi:

— Ty cyganiaty<sup>11</sup> wytrzyścu, byś ty trzy dni swoje mył, to jeszcze moje bydom<sup>12</sup> bielsze, choć uszargane!

Zaczął coś wołać w odpowiedzi, lecz nie było już słycać, gdyż wóz wjechał na twardą drogę i gruchocząc skręcał koło drugiego stawu ku wiatrakowi.

Chcąc się bardziej zabezpieczyć przeciwko słyszeniu, co mógł do niej mamrotać, Marynka sarknęła coś w otwór cynkowanej bańki, aż echo w niej zadudniło, i zaczęła śpiewać:

— *Miałam jednego brata...* — *Zaś rozpędziwszy się prześpiewała jeszcze kolejno: — Nie dbam, nie dbam, że mnie nie szanujesz...* — *Księżę, księżę...* oraz — *A pod moją klaczą podkowy kołaczą...*

Gdy na ostatku zaczynała: — *Mówiom ludzie, żem ładna...* — zadzwonili do doju.

Ludzie ruszali się już koło szopy, w szorowni<sup>13</sup> u stelmacha<sup>14</sup> i przy chlewach; mgły się poodwijały i wszystko rzeźwo stanęło w rumianym złocie poranka.

Marynka ścisnęła oczy i przypatrzyła się mostkowi, przez który była droga do czworaków.

— Co ich nie widać? — spytała sama siebie.

Dójki<sup>15</sup> wynurzyły się niespodzianie z furtki dworskiego ogrodu.

<sup>1</sup>*do dnia* (daw. reg.) — o świcie. [przypis edytorski]

<sup>2</sup>*skopek* — drewniane naczynie na mleko. [przypis edytorski]

<sup>3</sup>*fornal* (daw.) — pracownik zatrudniony jako woźnica w majątku ziemskim. [przypis edytorski]

<sup>4</sup>*kiecuchna* a. *kiecka* (gw.) — sukienka. [przypis edytorski]

<sup>5</sup>*barzy* (gw.) — bardziej. [przypis edytorski]

<sup>6</sup>*giry* (gw.) — nogi. [przypis edytorski]

<sup>7</sup>*kiej* (gw.) — kiedy. [przypis edytorski]

<sup>8</sup>*stojas* (gw.) — stoisz. [przypis edytorski]

<sup>9</sup>*corny* (gw.) — czarny. [przypis edytorski]

<sup>10</sup>*bandos* (daw.) — najemny robotnik sezonowy. [przypis edytorski]

<sup>11</sup>*cyganiaty* (gw.) — obraźliwe określenie osoby o ciemnej karnacji. [przypis edytorski]

<sup>12</sup>*bydom* (gw.) — będa. [przypis edytorski]

<sup>13</sup>*szorownia* — pomieszczenie, gdzie przechowuje się uprząż. [przypis edytorski]

<sup>14</sup>*stelmach* (daw.) — majster zajmujący się budową i naprawianiem wozów. [przypis edytorski]

<sup>15</sup>*dójka* — dojarka, pracownica od dojenia krów. [przypis edytorski]

— Tośta<sup>16</sup> po mnie chodziły do kuchni? — spytała najmłodszych, z którymi miała dobrą znajomość.

— Nie — odparły ze śmiechem. — Aleśmy przelazły bez<sup>17</sup> dziurę w angryście<sup>18</sup> i zaś sadem.

— Sadowy nie widziol<sup>19</sup>?

— Uo... on ta bydzie patrzył na dziki angryst. Ale i tak jeszcze cierpki.

Pozbierały bańki, skopki, wiechcie i ruszyły do doju.

W dzwoniącej łańcuchami oborze trwał chrupiący niegłośny hałas żucia, mleka strzykającego w naczynie i kroków stąpających po zgnojonej słomie.

Krowy myczały od czasu do czasu, a ta, która stała przy samych drzwiach, przestawała niekiedy ruszać głęba i patrzyła sztywno, jak blade strugi mleka ciekły przez skręt chłodnika i ze świegotem kapwały do naczynia. Na chłodnik dawał baczenie<sup>20</sup> garbaty mleczarz Dionizy. Przyciągał powązki<sup>21</sup>, gdy dójki zlewały mleko, oganiał muchy, które brzęczały dokoła, zmieniał nagrzaną wodę, a potem siedział i przyglądał się, jak wlatywały do obory czyste granatowe jaskółki. Ich szczebiot mocniej się rozlegał tu w brunatnej ciemności niż na dworze. Pomiedzy wiązaniami stropu widać było migotanie ich białych piersi z ceglasytym ognikiem na gardle.

— Nastąp<sup>22</sup> się — mówiły od czasu do czasu dójki — i — fitu-fitu, fitu-fitu — szczebiotały bystre jaskółki. Dionizemu zachciało się spać od tych głosów.

— Co to Marynka dzisiaj nic nie mówi? Zawdy<sup>23</sup> tak śpiewo, to czymu<sup>24</sup> tera<sup>25</sup> nie? — zapytał, by się roztrzeźwić.

— Ady dzięki Bogu, że raz wyc przestała — rzekł zgryźliwie pastucha<sup>26</sup> rozgrzebując widłami ciepłą zielonkę.

Słyszac te słowa, choć nie miała chęci, na złość zaczęła śpiewać pioseneczkę niedokończoną nad stawem:

Mówiom ludzie, żem ładna,  
a to prowd<sup>27</sup> nie żadna,  
bo mnie mama o chłodzie  
myła rosom w ogrodzie...

Drugie natychmiast zawtórowały:

Mówiom ludzie ci sami,  
że jo<sup>28</sup> bardzo z chłopcami...

— Nastąp się! — wrzeszczały w przerwie, a potem zaczynały znowu:

Nieszczęśliwy tutejszy mosteczek,  
nieszczęśliwy tutejszy most...

Pastucha mówił do swego białego psa: — Psss — bierz je... Pies hyczał ostrożnymi susami przez gnój, szczebkając na chybił trafił, i to sprzeciwianie się dodawało gorzkiej uciechy robocie.

Gdy po doju myły sobie nogi z gnoju przy studni, Marynka wpadła w niespodziewaną złość na mleczarza Dionizego.

<sup>16</sup>Tośta po mnie chodziły do kuchni (gw.) — to poszłyście po mnie do kuchni. [przypis edytorski]

<sup>17</sup>bez (tu gw.) — przez. [przypis edytorski]

<sup>18</sup>angryst (gw.) — agrest. [przypis edytorski]

<sup>19</sup>widziol (gw.) — widział. [przypis edytorski]

<sup>20</sup>dawać baczenie (gw.) — uważać, pilnować. [przypis edytorski]

<sup>21</sup>powązka (gw.) — kawałek tkaniny, przez który cedi się mleko. [przypis edytorski]

<sup>22</sup>nastąp się (gw.) — przesuń się (do krowy a. konia). [przypis edytorski]

<sup>23</sup>zawdy (gw.) — zawsze. [przypis edytorski]

<sup>24</sup>czymu (gw.) — czemu. [przypis edytorski]

<sup>25</sup>tera (gw.) — teraz. [przypis edytorski]

<sup>26</sup>pastucha (gw.) — pastuch. [przypis edytorski]

<sup>27</sup>prowd (gw.) — prawda. [przypis edytorski]

<sup>28</sup>jo (gw.) — ja. [przypis edytorski]

— Co lejeta<sup>29</sup> te wode, jakby ji<sup>30</sup> w studni brakło! — zgrzytnęła. — Chto<sup>31</sup> mo<sup>32</sup> za wos<sup>33</sup> lać?

Tedy<sup>34</sup> chlusnął ze wszystkich sił, spryskując Marynkę po pas, aż zawrzęszczała, co mleczarz powitał cichym śmiechem.

— Jakie tyż ten Dóniży<sup>35</sup> mo<sup>36</sup> biołne<sup>37</sup> te zembiska. Jak się oześmieje<sup>38</sup>, to aż aż... — mówiły dziewczki, wstawiając bańki na jego szary wózek.

Gdy już ruszyły za wózkiem w stronę dworu, rzekły jeszcze:

— Drugie takie som... Te Galicjoki<sup>39</sup>, co tu robiom, to jeden w drugiego jeszcze barzy bieliste zemby majom...

Marynka przerwała z gniewem:

— Te cyganiate diabły? Jakby się człowiek z takim trącił, toby się jeszcze ubrudził.

Mówiąc to i owo do siebie, wejrzały mimochodem na pozamykane okiennice dworu. U pana tylko okno było jak szeroko otwarte i dawał się przez nie widzieć pusty pokój z dawno posłanym łóżkiem.

Wczesna godzina ze swą ciszą uroczystą i surową panowała w kręgu obłych kasztanów i na klombie, zarośniętym ciemnoczerwoną półdziką różą. Marynka, rozejrzawszy się, narwała po drodze tej róży i dała Stasi Jamrozikównie.

— Na<sup>40</sup>, mosz<sup>41</sup> — rzekła dobrotliwie. — Postawisz sobie w zbanyszku<sup>42</sup>, to ci bydom ładnie pachniały.

Na ławce przed kuchnią sędziwa kucharka skubała sennie kurczęta. Mały fokś stał naprzeciwko, przelykając od czasu do czasu głośno.

Marynka zapytała:

— Jużeśta wydowali<sup>43</sup> Galicjokom?

— Coś ty się szaleju najadła? Jeszcze ni ma szóstej. Pani dopiero wstaje.

Ze świeczką w ręku wchodzili w dudniący echem zmrok piwnicy. Marynka stawiała mleko na kwaśne, lejąc w donice jedwabisty płyn. Gdy zamykała spróchniałe drzwi na klódkę, Dionizy odjeżdżał właśnie do miasta, a bandoska kucharka wołała na nią jak co dzień, że idzie już po życie<sup>44</sup> dla bandosów. Życie owo Marynka pomagała jej nosić.

Stojąc w ciemnożółtej od wschodniego słońca spiżarni, wśród<sup>45</sup> oschłej woni sypanych kasz i miękkich tchnień mąki padającej na kopankę, spytała kucharkę, gdzie bandochy<sup>46</sup> dziś robią. Kucharka powiedziała, że sieką rzepak pod dębem. To samo potwierdziły dzieci pańskie, które już wstawały, żeby tam iść. Marynka mogła dzięki temu wcześniej posprzątać pokoje i o ósmej skoczyła zrobić masło w tejże, gdzie była rano, piwnicy.

Piwnica znajdowała się nieco za dworem w starym budynku, skrytym pod wysokimi drzewami. Na górze był drwalnik, a pod ziemię wchodziło się w kurzu oblatującej ze wszystkich stron cegły. Nad schodkami wisiała pajęczyna brudna i zaprószona, gruba jak płachta, i wisiały nietoperze jak ulęgałki.

W pierwszej piwnicy porobiono z obydwu stron sąsieki<sup>47</sup>, a w nich leżały kartofle, którym o tej porze rosły już białe kły, długie na łokieć. W drugiej był dostęp do okienniczka i Marynka najpierw tam podeszła. Za żelaznymi prętami widać było, jak wyrastają z ziemi

<sup>29</sup>lejeta (gw.) — lejecie. [przypis edytorski]

<sup>30</sup>ji (gw.) — jej. [przypis edytorski]

<sup>31</sup>chto (gw.) — kto. [przypis edytorski]

<sup>32</sup>mo (gw.) — ma. [przypis edytorski]

<sup>33</sup>wos (gw.) — was; tu jest to gw. forma grzecznościowa. [przypis edytorski]

<sup>34</sup>tedy (daw.) — więc. [przypis edytorski]

<sup>35</sup>Dóniży — gwarowa wymowa imienia Dionizy. [przypis edytorski]

<sup>36</sup>mo (gw.) — ma. [przypis edytorski]

<sup>37</sup>biołny (gw.) — biały. [przypis edytorski]

<sup>38</sup>oześmiać się (gw.) — roześmiać się. [przypis edytorski]

<sup>39</sup>Galicjok (gw.), własc. *Galicjyak* (reg.) — mieszkaniec Galicji, tj. Małopolski. [przypis edytorski]

<sup>40</sup>na (gw.) — proszę; trzymaj. [przypis edytorski]

<sup>41</sup>mosz (gw.) — masz. [przypis edytorski]

<sup>42</sup>zbanyszek (gw.) — dzbanuszek. [przypis edytorski]

<sup>43</sup>jużeśta wydowali — czy już wydawaliście. [przypis edytorski]

<sup>44</sup>życie — tu: jedzenie. [przypis edytorski]

<sup>45</sup>wśród (daw.) — wśród. [przypis edytorski]

<sup>46</sup>bandoch a. bandos (daw.) — najemny robotnik sezonowy. [przypis edytorski]

<sup>47</sup>sąsiek — fragment pomieszczenia wygrodzony do przechowywania ziemniaków (w piwnicy) a. siana (w stodole). [przypis edytorski]

krzaki bzu i wielkie kasztany. Tuż za okienkiem z tamtej strony rozpościerał się parzący upał, a tuż za nim z tej strony był ciężki chłód. Marynka oparła się czołem na prętach, prześpiewała za okno:

Moja dziewułu, naucz się robić<sup>48</sup>,  
bo cie nie pojmie żaden królewicz...

i zaczęła wołać — tu-tu-tu — do psów, które miały budę opodal. Psy szarpnęły się i zahałasowały, a ona wtedy dopiero ze śmiechem poszła chlastać tłuczkiem w śmietanę. Przez wierzchenek<sup>49</sup> kierzanki<sup>50</sup> czuć było zapach tłusty, a zarazem kwaśny i słychać było gęste chlupotanie.

Marynka stawiała to od tej strony, to od tamtej, żeby się masło chciało lepiej robić, i śpiewała:

Rośnie ziele, rośnie, na oknie w donicy...

Niektóre zwrotki przerywała nieznacznie i nasłuchiwała, jak jeszcze przez nieco czasu głos w zimnej ścianie dzwoni.

Masło się zrobiło prędzej niż zawsze. Jeszcze było dość czasu do obiadu i posłali Marynkę pleć<sup>51</sup> do ogrodu. Tańczyła po drodze między malwami, aż urwała z nich najpiękniejszą sobie we włosy — co napędziło jej na usta chępliwą śpiewkę:

Jaka taka pękata,  
a jo sobie nie taka...

i z oznajmieniem tym przykucnęła na grządce.

Pleć też bardzo lubiła. Położyła się bokiem w bruzdzie, między zagonkiem a zagonkiem i wyskubywała z ciepłych grudek dzikie ziele i niepotrzebne chwasty. Trzeba było mocno uważać, ażeby nie załapać pietruszki albo selera. Do tego najprzydatniej było śpiewać co płacziwe. Śpiewała więc kolejno: — *Wszystko się pole zazieleniało...* i — *Moja miło matuleńko, dodejcie<sup>52</sup> mi rady...*

Wtem po słowach — *Ojej, ojej, dodejcie mi rady* — załapała garścią najpiękniejsze seleri. Wytaszczywszy je z ziemi razem z kępą lebiody — aż zachrupało — rzuciła wszystko w bruzdę i krzyknęła:

— Już jo ci zrobie, jo ci zrobie! Żeby tak jem<sup>53</sup> co takie spsocioć tem<sup>54</sup> cyganom<sup>55</sup>!

Przez chwilę pełła w milczeniu i myślała, z którą dziewczyną się naradzi, jak bandosom dokuczyć, zwłaszcza jednemu, co śmiał o jej nogach tak powiedzieć. Paniczowi, który tu był tamtego roku w gościnie i umizgał się do nich, nakładły w siennik sękatę drzewa — ale to była rzecz inna.

Usiadła oparta brodą o kolana, chytrząc po cichu, a lebiody, rdesty i ognichy więdły tymczasem na bruzdzie i więdnąc cierpko pachniały.

Ledwo zdążyła się znów zabrać do pielienia, zadzwonili na południowy dój, a zaraz po doju, nim zdążyła pomówić z dziewczynami, losy się inaczej z nią sprzymierzały.

Nakryła była do stołu i wyszła na werandę wołać dzieci na obiad. Wtedy zobaczyła, że kury znów są w kłombie. Nagrzebały się już widać co niemiara, a teraz siadły i pozasypiały na samym środku, w ciepłym dołku między najpiękniejszymi floksami, naokoło koguta całego w rudych, granatowych i zielonych piórach.

Marynka skoczyła z krzykiem: — Kury ha! — i — weź je ha!

<sup>48</sup>robić (tu gw.) — pracować. [przypis edytorski]

<sup>49</sup>wierzchenek (gw.) — pokrywka. [przypis edytorski]

<sup>50</sup>kierzanka (reg.) — maślnica, wysokie i wąskie naczynie drewniane, w którym za pomocą tłuczka ubija się śmietanę na masło. [przypis edytorski]

<sup>51</sup>pleć a. pielic — wyrwać chwasty spomiędzy roślin uprawnych. [przypis edytorski]

<sup>52</sup>dodejcie (gw.) — dodajcie, dajcie. [przypis edytorski]

<sup>53</sup>jem (gw.) — im. [przypis edytorski]

<sup>54</sup>tem (gw.) — tym. [przypis edytorski]

<sup>55</sup>cygan (gw.) — tu: obraźliwe określenie osoby o ciemnej karnacji. [przypis edytorski]

Rośliny

Gniew, Zemsta

Zwierzęta, Ptak

Kury zbudziły się, lecz nie rozumiały, na co ten hałas. Przypodnosiły się niepewnie i zasiadały znowu, mierząc wystraszonym okiem w koguta, który wydawał pytające okrzyki. Na koniec, kiedy psy zatętniły dokoła — kury pozrywały się i od razu popadły w szaleństwo. Wyskoczyły z dołka i popędziły na oślep, chrypiąc, piejąc i gdacząc.

Zbłąkawszy się w popłochu, tym wścieklej zawrzeszczały, aż wreszcie trafiły na właściwe zarośla i nurknęły w stronę kurników.

Furtka na kurze podwórko była zamknięta. Śmielsze kury z rozdzierającym okrzykiem dźwignęły się i robiąc<sup>56</sup> nad siły skrzydłami przefrunęły płot. Drugie rzuciły się w bok.

Na boku tym, pod szczytową ścianą oficyny, w chłodzie pod bzem bandosy jedli obiad. Łyżki dzwoniły cienko w gliniane misy, w których pachniały kwaszona kapusta z kartofłami oraz maślanka.

Bandosy siedzieli przy stole w koszulach szarych od potu i otwartych na ciemno spalonej piersi.

I otóż stało się, że kury poprzerażane do nieprzytomności i osaczone przez psy wleciały na stół. Maślanka chlusnęła, wystraszone ptaszyska rozpryskały jej białe krople, ławy się przewróciły, jedna misa zleciała. Tylko psy uspokoiły się znacznie i zżerały prędko powylewane jedzenie wśród powszechnego rwetesu.

Szalejąc z radości Marynka ujrzała z krzaków, jak pstra kokoszka prysnęła maślanką w lica Słupieczaka<sup>57</sup> i jak skoczyła mu na czarny łeb.

Bandosi krzykliwie ruszyli w stronę dworu, gdyż stamtąd pokojowymi psami poszczuto na nich kury.

— Nie — nie na nich poszczuła je Marynka. Samo się tak zrobiło na jej pociechę. Prędko się stało to, czego pragnęła. Stać tu teraz nie głupia<sup>58</sup> i czekać, aż ją zobaczą i złoją<sup>59</sup>.

Zaroślami, które ją w porę skryły, pobiegła nie na obiad, tylko gdziekolwiek, przed siebie. Najpierw uderzała się ze śmiechem o drzewa parku, strącając tu i ówdzie, nie chcący, znamię upału, przedwczesny żółty liść. Potem skoczyła dalej za rów, za podwórze, między stodoły, na puste w tej porze pole. Tam na kwiecistym rowie zatupała i głąskana po kolanach przez przytulie zakrzyczała na spieczę<sup>60</sup>, tańcząc po dzikim ziele:

Uoi zagrej mi, groczyku, a nie żałuj smyczka —  
uoi dadzom ci matula, da, jak przedadzom byczka —  
uonydany, uonydana, nanynanynana  
uonynyna nanydana uony dada da a-a-a.

W napadzie radości rwała wiotkie byliny, mietlice, drzączki, powójki i rozrzucała je naokoło. Potem stanęła, zakrzyczała swą piosenkę głośniejsze i znów zatańczyła. Zdyszała się, stanęła, znów zatańczyła i znów zaśpiewała, jeszcze głośniejsze i jeszcze, jeszcze prędzej. Potem nastąpiło milczenie i w polu odzywał się tylko jeden ptak cienkim głosem oraz pasikoniki.

Trzeba było jednakże wracać. Marynka rozejrzała się pilnie i cichaczem ruszyła w stronę dworu. Dotarła pomału do kuchni, gdzie kucharka zaczęła ją straszyć.

— O, dostaniesz ty hałas o to, żeś nie przyszła, dostaniesz. Julka musiała obiad za ciebie wydać i ze stołu pozbierać. Bez coś tak zrobiła<sup>61</sup>? Mosz ty rozum?

— A tak. Bez nic. Niech majom — odparła krnąbrnie i zabrała się od razu do pomywania. Czekala, że ją zawołają i zaczną się, jak mają w zwyczaju, powtarzanie jednego i tego samego dokoła Wosiu<sup>62</sup> po sto razy. Nie wołali jednak — zebrała tedy pozmywane rzeczy i poniosła odważnie do stołowego pokoju. Nie było nikogo. W otwartych drzwiach werandy wróbel ćwierkał przenikliwie. Na stole stały niedojedzone wiśnie. Wzięła sobie

<sup>56</sup>robić skrzydłami (daw.) — machać skrzydłami. [przypis edytorski]

<sup>57</sup>Słupieczak (gw.) — młody Słupecki. [przypis edytorski]

<sup>58</sup>stać tu teraz nie głupia — (Marynka) nie jest tak głupia, żeby tu teraz stać. [przypis edytorski]

<sup>59</sup>złoić — zbić, pobić. [przypis edytorski]

<sup>60</sup>spieka — upał. [przypis edytorski]

<sup>61</sup>bez coś tak zrobiła (gw.) — przez co (dlaczego) tak zrobiłaś. [przypis edytorski]

<sup>62</sup>dokola Wosiu a. dookola Wójtek — frazeologizm: w kółko to samo, wielokrotnie, do znudzenia. [przypis edytorski]

z garstkę i przez werandę wróciła do ogrodu, na przedpołudniowe miejsce. Tam pieląc ze skrętną niewinnością warzywne grządki, śpiewała nie nazbyt głośno:

Kozali mnie kury paść,  
a jo na nie ciu-u-u.

Gdy nastał zmrok, a bandosy tymże porządkiem co zawsze przyszedli do swego stołu pod bzami, Marynka zwinęła się z mlekiem i uwiesiwszy się między konarami bzu, dobrze w zieleń zaszyta, wołała do jednego z nich:

— Ty czorny gnojku! Nie ostawiła ci ta bestra<sup>63</sup> kokoszka na łbie jakiej pamiątki? Poiskaj<sup>64</sup> się, może co najdziesz!

Uczynili, jakby nie były powiedziane do nich żadne słowa. Rozczarowana wróciła do dworu i gdy zaczęła sobie słać łóżko, usłyszała, że ktoś wszedł do kuchni.

— Kto tam? — spytała kucharka, przerywając różaniec.

Marynka wyszła ze stancji na kuchnię i stanęła oko w oko ze Słupeckim.

— Niech bandzie pokwalony<sup>65</sup>!

— Na wieki.

Podszedł blisko. Powiedział, że u nich jest dzisiaj granie przed kuchnią i czyby nie przyszła. Rzekł to po cichu, jakby w sekrecie.

— Co ni mom przyńś<sup>66</sup> — odparła bez wahania, gdyż iść na tańce była to rzecz zwyczajna.

— No to dali<sup>67</sup> — przyzwał nagląco.

— Marynka, chto ta po nocy przyłos<sup>68</sup>? — zaskrzypiała już spod pierzyny kucharka.

Marynka poczuła się w nieprzyjemnej spółce i wstydziła się przed starą o tym mówić.

— Nic, nic — odparła mrukliwie.

Wyszli razem, ale gdy się znaleźli w ciepłych zmrokach, skoczyła między jaśminy. Nie uskoczyła daleko. Słupecki okazał się chybszy<sup>69</sup> i przytrzymał ją, aż zajęczała. Przytrzymał i nakierował na ścieżkę tak, że musiała iść.

— Puść mnie — mówiła całą drogę. — Puść mnie.

— Na co? — pytał z głupia frant. — Nie kces<sup>70</sup> ze mno potańcować. Co to ja nieładny?

Odwróciła tym bardziej głowę, by ani wejrzeć na tę niegodną urodę. Puścił ją dopiero, kiedy już ludzie widzieli, że nadchodzą. Teraz nie mogła uciekać, boby się wydała na pośmiewisko. Myśleliby, że dzika.

Dobrze — będzie więc tańcowała z tym chłopaczyskiem. Należy jej się to za karę, skoro dała się zdurzyć<sup>71</sup> słowem bożym. W ustach takiego nic nie jest święte. Ale już ona jemu też obmyśli, żeby potańczył. Mało mu jeszcze, że mu psy obiad żeżarły — będzie miał co więcej.

Lecz w miarę jak tańczyli, serce jej truchleć zaczęło. To nie był taniec, to było katanie człowieka. Ręka Marynki zsiniała od uścisku pięści Słupeckiego. W sobie czuła się opasana nie ramieniem, a łańcuchem z gorącego żelaza, od którego żebra chciały popękać.

Uścisk nie sfolzał<sup>72</sup> nawet, kiedy muzyka grać przestała.

— Dali, siędnij, to wytchnę<sup>73</sup> — chrapnęła wtedy zgoniona.

— Mogemy<sup>74</sup> postać — odparł bez pośpiechu i przytupywał na miejscu.

Gracz obtarł pot i widząc taką gotowość rozciągnął znowu mieszki harmonii.

Taniec przedłużał się. Inni dwakroć lub trzykroć pozmieniali się, pooddychali — a oni wciąż się kręcili. Marynka spociła się aż do wierzchniego odzienia i nie dyszała już, lecz

<sup>63</sup>bestra (gw.) — bystra, sprytna. [przypis edytorski]

<sup>64</sup>poiskaj się — przeszukaj swoje włosy. [przypis edytorski]

<sup>65</sup>Niech bandzie pokwalony (gw.) — niech będzie pochwalony (w domyśle: Jezus Chrystus). [przypis edytorski]

<sup>66</sup>co ni mom przyńś (gw.) — czemu nie miałabym przyjść. [przypis edytorski]

<sup>67</sup>dali (gw.) — dalej. [przypis edytorski]

<sup>68</sup>chto ta po nocy przyłos (gw.) — kto to po nocy przyszedł. [przypis edytorski]

<sup>69</sup>chybszy (gw.) — szybszy. [przypis edytorski]

<sup>70</sup>kces (gw.) — chcesz. [przypis edytorski]

<sup>71</sup>zdurzyć (gw.) — oglupić, omamić. [przypis edytorski]

<sup>72</sup>sfolżeć (daw.) — zelżeć. [przypis edytorski]

<sup>73</sup>dali, siędnij, to wytchnę (gw.) — dalej (tzn.: no już), usiądź, to odpoczne. [przypis edytorski]

<sup>74</sup>mogemy (gw.) — możemy. [przypis edytorski]

sapała, świszcząc przez nos, a Słupecki coraz to dwoił prędkość. Na koniec nie wytrzymała i spróbowała się wytargnąć z objęcia pełnego nienawiści. Stracił krok może na moment, zachwiał się, gdyż była mocna, lecz nie puścił. Przeciwnie, ścisnął ją tym zaciekłej.

— By nie to, że na oczach — tobym ci... Jo i chłopu poradze<sup>75</sup> — zachrypiała po cichu.

Roześmiał się. Sam też sapał. Krople potu z jego twarzy upadły Marynce na lica. Stęknęła głośno. Inni spostrzegli, że się coś święci, porzucali własną zabawę — patrząc, jak tamci parują niby żelazo w ognisku zanurzone.

Tończ, tończ,  
małe dziwczę<sup>76</sup>,  
tończ, tończ...

judzili jedni, a drudzy do niej:

— Nie dej<sup>77</sup> sie, Maryś! Nie dej sie bandochowi.

Gdy znowu jęknęła, zaczęli wołać:

— Co on ji<sup>78</sup> robi! Słupecki! Ostaw<sup>79</sup> dziewuche.

— Huknij go, Jędreku!

— Nie grać. Przestać ta z graniem!

Harmonia rozdarła się ryczącymi akordami i zamilkła.

Słupecki puścił Marynkę stańczoną prawdziwie że do upadłego. Odleciała, taczając się aż do ściany, i upadłszy pod murem, zaczęła rzezić jak człowiek duszony. Słupecki stał błady przy płocie i obu rękami obcierał twarz. Wstrząsał się raz po razie, jakby płakał.

Rusocińskie<sup>80</sup> chłopaki rzuciły się ku niemu z wyrażaniem. Ludwik Unisławski ich wstrzymał, mówiąc wzgardliwie z głębi swoich doświadczeń:

— Poodźta<sup>81</sup>. To ta jeich<sup>82</sup> sprawa. Jest ta o co się wadzić<sup>83</sup>. Pies ta ze sukom się nie poźrom — nie bojta się...

Dziewuchy, poodciągane przez kochanków, zostawiły Marynkę.

Dźwignęła się spod muru, jakby wstała z ciężkiej choroby, i zaczęła iść ku dworowi.

Słupecki dogonił ją i spytał:

— Tero wis<sup>84</sup>, kto mocniejszy? Tero wis? Ty złe dzicie<sup>85</sup>.

W odpowiedzi na słowa te usiadła na kamieniu i zapłakała. Podchodził natargliwie to z tej, to z tamtej strony, ale za każdym razem odpychała go nogą i pięścią. Tedy dał spokój. Zaczął odchodzić i po drodze oberwał z krzaka liść, a krzak wstrząsnął się głośno w nocnej ciszy.

Marynka przestała płakać. Po chwili krzyknęła:

— Nawróć<sup>86</sup> się!

Nawrócił się i przyszedł. Powstała przerażona wszystkim, co się zrobiło, i nagle skoczyła w jego ramiona jakby w przepaść.

Gdy się wywlekli oboje spomiędzy zarośli, miało się już na dzień. Dwór stał cicho w zawoju mlecznej drogi, w rozprysku gwiazd świecących jeszcze biało nad stromym dachem.

— Gdzie śpis? — zapytał Słupecki.

— Przy tamtym oknie — rzekła po cichu i nagle poskarżyła się:

— Jeszcze mieć byde<sup>87</sup> sprawe o te kury.

<sup>75</sup>o i chłopu poradze (gw.) — jestem tak silna, jak mężczyzna. [przypis edytorski]

<sup>76</sup>tończ, małe dziwczę (gw.) — tańcz, mała dziewczyno. [przypis edytorski]

<sup>77</sup>dej (gw.) — daj. [przypis edytorski]

<sup>78</sup>ji (gw.) — jej. [przypis edytorski]

<sup>79</sup>ostawić (gw.) — zostawić. [przypis edytorski]

<sup>80</sup>Rusocińskie chłopaki — chłopcy mieszkający w Rusocinie; *Rusocin*: wieś stanowiąca miejsce akcji wielu opowiadań Marii Dąbrowskiej, jako pierwowzór wskazywany jest Russów, wieś w woj. wielkopolskim, położona ok. 10 km na pln. od Kalisza, w której autorka urodziła się i spędziła dzieciństwo. [przypis edytorski]

<sup>81</sup>poodźta, własc. podźta a. pójdzta (gw.) — chodźcie; odejdźcie. [przypis edytorski]

<sup>82</sup>jeich (gw.) — ich. [przypis edytorski]

<sup>83</sup>wadzić się (daw. a. gw.) — kłócić się, wchodzić w spór. [przypis edytorski]

<sup>84</sup>tero wis (gw.) — teraz wiesz. [przypis edytorski]

<sup>85</sup>dzicie (gw.) — dziecię, dziecko. [przypis edytorski]

<sup>86</sup>nawróć się (daw., gw.) — zawrócić. [przypis edytorski]

<sup>87</sup>byde (gw.) — będę. [przypis edytorski]



— Niek<sup>88</sup> im Pan Bóg da zdrowie — odparł ciepło i oboje zaśmiali się.  
Marynka nie miała jednak sprawy o kury ani nazajutrz, ani potem. Gdyż było właśnie zapowiedziane, żeby kury wyganiać z klombów. A prócz tego tej dziewczynie robota paliła się w rękę. Teraz w żniwa dobrze mieć taką, co znajdowała czas, żeby i w ogrodzie co zrobić, gdyż o dostanie kogo z pola do ogrodu nie można było marzyć. Lubiono także jej śpiewki.

Praca

— Przynajmniej wesoła, nie chodzi ciągle z nadętą głową, a jak śpiewa, to wiem, że w ogrodzie owoców mi nie zjada — mówiła pani.

To jedno tylko w Marynce było dworowi przykre, że ciągle z kielczakami<sup>89</sup> zaczynała. Pan był o to cokolwiek zły.

— Dziewucha ma z osiemnaście lat i żadnego zastanowienia; jeszcze się od nich dogra.

Lecz po namyśle państwo przyznali razem:

— Lepiej, że z nimi zadziera, niżby miała do nich latać i zadawać się z którymś innym.

Śpiew

Tak. Dostyc już wszyscy mieli tych nieproszonych dzieci, które się ciągle rodziły, umierały, potem straszyły.

Następna sprawa z bandosami wynikała zresztą nie z powodu Marynki. Przyszli się poskarżyć, że im do izby, gdzie spali, z kurników smród bardzo leci.

Trzeba było zajrzeć do kurników, które leżały na drugim końcu budynku. W sionce koło stacji oprzędki<sup>90</sup> pani się na coś natknęła i szerzej otworzyła drzwi, żeby zobaczyć co to. Zza stromych schodów, które wiodły na strych, wyzierał siennik.

— Co to za siennik tu leży?

Oprzędka rzekła śpiesznie i głośno, wchodząc do pustego kurnika:

— Sprzątać się sprząta, ale na takie gorąco zawdy<sup>91</sup> bydzie<sup>92</sup> czuć kole kurów<sup>93</sup>.

Pani ponowiła pytanie:

— Co to tu leży?

Oprzędka węszyła duszną wilgoć, odwlekając jeszcze odpowiedź. Na koniec rzekła razem z echem:

— To ta tego Janka...

— Co za Janka?...

— Ady ten... jak się nazywa, Słupecki, śpi tu z Marynkom ze dworu.

Teraz i pani wkroczyła pośpiesznie do kurnika i badając zgnojone klepisko wszczęła alarm na zapuszczenie i brudy.

— Przy wszystkim trzeba codziennie być samemu, inaczej ani do głowy komu przyjdzie, żeby co zrobić — zasmuciła się.

Po chwili spytała, przeraźliwie zdumiona i prawie uduszona od niemiłej woni:

— A temu... Słupeckiemu, tu nie śmierdzi?

— Jemu nie śmierdzi — rzekła stara z pogardliwą zazdrością. I rada teraz z odwrócenia rozmowy, dodała:

— Jak się tu na noc zdybiom<sup>94</sup>, jak się ścisnom, to ta o świecie nie wiedzom.

W godzinę po tej ważnej i zdumiewającej rozmowie Marynka spytała pani, czy może nie przyjść do obiadu. Julka od dzieci za nią poda i wszystko zrobi, a ona pójdzie pomóc bandoskiej kucharce zanieść obiad na pole. Kielczaki robią tak daleko, że nie mogą przychodzić na południe.

Prosiła o to już kilka razy i zawsze miała pozwolone. Na nikogo nie można się było gniewać, kto służyć chciał sprawie żniwa.

Lecz teraz można było wątpić, czy to pomaga sprawie żniwa — czy nawet Marynka w ogóle ten obiad nosi.

Ciąża, Kobieta "upadła",  
Upiór

<sup>88</sup>niek (gw.) — niech. [przypis edytorski]

<sup>89</sup>kielczak (gw.) — mieszkaniec Kielc; tu: przybysz spod Kielc. [przypis edytorski]

<sup>90</sup>oprzędka (daw.) — pracownica dogładowa i karmiąca świnię i kury. [przypis edytorski]

<sup>91</sup>zawdy (gw.) — zawsze. [przypis edytorski]

<sup>92</sup>bydzie (gw.) — będzie. [przypis edytorski]

<sup>93</sup>kole kurów (gw.) — koło kur; przy kurach. [przypis edytorski]

<sup>94</sup>zdybać (gw.) — tu: spotkać. [przypis edytorski]

Ma się rozumieć, nie nosiła go wcale. O ile dostała takie pozwolenie, to nawet doju swego częstokroć nie skończyła. Młeczczarz Dionizy za nią podajal, a ona biegła na pola, gdzie sprzątała. Jeżeli było zawczas, to odpędzała dziewczuchy i sama pobierała za Słupcekim ostatnie garście. Ludzie zmagali się i zwijali w szklitym szeleście, a kiedy niekiedy pili wodę, postawioną w cieniu gruszki. Gdy nastawało południe, Marynka patrzyła, jak Słupcecki je obiad, zaś potem szli oboje gdzie precz.

Miłość spełniona

Zapuszczali się w niepokoszone jeszcze zboże i tam w palącym jak spirytus powietrzu, przy byle jakim rowie napadali na siebie jak zbóje. Całowali swe twarze słońce od potu, gnietli i rwali sobą wiotkie przytulie, szarpali w ciosach miłości płatki cykorii, a gniewne przyduszone trzmielie wybijały się spod nich, dudniąc w splątanej trawie.

Seks

Mimo że tak było i że pani już to i owo było wiadome — pozwolono jej dziś jeszcze „zanieść obiad”, gdyż trzeba się było w ogóle namyślić nad tą rzeczą. Odeszła śpiewając po cichutku i namiętnie:

Powiedzieliś, że mnie weźniesz<sup>95</sup>,  
ino<sup>96</sup> z pola żytko zeźniesz...

Po południu miała być w ogrodzie i obcinać z pędów truskawki. Nie było jednak słyhać, aby śpiewała.

Niezadowolona z siebie i wiedzona osobliwą ciekawością, pani wyruszyła, żeby zobaczyć, co się tam dzieje.

Szła ostrożnie słoneczną stroną przez warzywa i kwiaty. Marynki nie było ani przy jednych truskawkach, ani przy drugich. Wobec tego pani zanurzyła się w stary ogród, bardziej zacieniony i chłodny. Nie rosły tam kwiaty ani ogrodowizny<sup>97</sup>. Jedne drzewa rozpościerały swoje gałęzie po trawnikach, inne były olbrzymie jak drzewa w puszczy i ronily swój drobny owoc z niedosiężonej wysokości.

Jabłko, Grzech

Naprzeciwko cukrówki<sup>98</sup>, pod którą leżały porozstraskiwane gruszki lepkie od soku, w cieniu zdziczałych malin spała Marynka — ogromna i wspaniała — z wyrazem słodczy na różowym obliczu. Naokoło były porozrzucane ogryzki cukrówek.

Uroda

W skwarnej ciszy dawał się słyszeć z drugiej alei szwiecki młoteczek sadowego, a młody chłopak sadowych krążył podejrzliwie w pobliżu. Niekiedy mówił do swego psa: — Na tu, na... — co słyhać było cienko i błado w piekących blaskach gorąca.

Pani na razie stała w milczeniu, zaskoczona pięknnością śpiącej dziewczyny. Była to piękność niesforna, jasnowłosa i mimo woli potężna.

Lecz co ma być w gospodarstwie zrobione — zrobione być musi — i Marynkę trzeba było przebudzić.

Szarpięta i zawołana zerwała się od razu przytomnie i rzeško jak dziecko.

— Usnęłam dziebko? — zapytała nieśmiało.

— Nie dziebko, tylko już czwarta. Co ty sobie myślisz w ogóle?

Dziewczyna wstała w milczeniu i poszła do truskawek.

— Zbałamuciłaś się... Zbałamuciłaś się — mówiła pani, towarzysząc jej aż do miejsca pracy.

— Żebyś mi dziś przynajmniej była na czas u doju — dodała na zakończenie długich przemówień.

Marynka nie była jednak na czas. Kiedy o siódmej wieczorem dzwoniłi, błędziła właśnie między stawami na drodze, po której taczały się wozy ze swym olbrzymim jak dom złoty ciężarem. Zaprzęgano nie czwórkami, tylko po parę koni i wszyscy, kto żywy, wozili zboże, gdyż miało się na burzę.

Marynka czyhała wśród słomy, zwieszającej się z przydrożnych lip, od których wiało skwarem. Gdy Słupcecki nadjeżdżał, biegła za nim wyciągając z woza kłoski, i jadła ziarnka, które on zwoził. Na tej zabawie zobaczył ją rządcą, zezwał, wygnał do doju i naskarżył we dworze.

<sup>95</sup>weźniesz (gw.) — weźmiesz. [przypis edytorski]

<sup>96</sup>ino (gw.) — tylko. [przypis edytorski]

<sup>97</sup>ogrodowizny (daw.) — rośliny uprawne, rosnące w ogrodzie, tj. warzywniku; warzywa. [przypis edytorski]

<sup>98</sup>cukrówka — gatunek gruszy. [przypis edytorski]

— Robi się niemożliwa, rzeczywiście niemożliwa — rzekła pani — ale cóż ona winna, zakochała się jak nieprzytomna, trzeba z nią po dobroci.

I nazajutrz przy maśle zaczęła z nią w tym duchu rozmowę.

— Czy ty wiesz, głupia dziewczyno, co ciebie czeka? — mówiła.

Lecz Marynka nie chciała przyjąć żadnych ostrzeżeń dla swego dobra. Gorszyło ją za bardzo mówić o swym kochaniu z kimś ze dworu. Pani napomykała wyraźnie o tej rzeczy, a Marynka, przejęta za nią wstydem, powtarzała tylko uparcie, aby przerwać:

— Jo ta nikumu nie wadze<sup>99</sup>.

Za to z ordynariuszkami<sup>100</sup> i z matką kłóciła się nieraz zażarcie o tę miłość. Baby wciągały ją do czworaków<sup>101</sup> i nauczały, że ma tak nie latać za chłopakiem.

— Jak bydziesz zanadto po jego woli, to ani sie obejrzysz, jak ci powi: — pódziesz<sup>102</sup> — jakby psu.

Odpowiadała, że przynigdy nie powie. Na to dały jej niemało wiarygodnych przykładów, jak oni prędko mieli dosyć takiej, co im nazbyt gorliwie służyła, i jak chłopca trzymać należy za łeb z daleka a z daleka.

Ze łzami szeptała na to:

— Choćby mi kazał precz iść, to z jego nielubienia jeszcze wiency<sup>103</sup> pociechy lo<sup>104</sup> mnie, jak z drugiego nie wiem jakiej miłości.

— Masz głupiom — wyrokowały wtedy.

We dworze przerażono się jeszcze bardziej tymi konszachtami po chałupach. Między dworakami są rozmaici ludzie. Jeszcze zacznie co ze dworu wynosić. Już i tak ginęły jakieś rzeczy.

Zaczęło rosnać przekonanie, że Marynka jest nie tylko tłupek, ale i poruchliwa.

— Wszystko można zrozumieć — mówiło się coraz częściej — ale nie wytrzymamy z nią długo.

Namyślano się, by ją odprawić. Niech sobie idzie w pole robić, w końcu i dla dzieci nie jest dobrze na to wszystko się patrzeć — a choćby słyszeć.

Marynka, jakby nie wiedząc, że koło niej tak już krucho, przysła w porze tych namysłów do pana prosić o zasługi i żeby jej pozwolił iść jutro na odpust do Brudzewa. Dopiero co przy wypłacie o to samo prosił Słupecki.

— To z nim chcesz iść? — spytał pan, otwierając niepewnie i z namysłem szufladę.

— Tak, z nim — odparła i hałaśliwie chrząknęła.

— Na co ci tyle pieniędzy? Nic nie chcesz oszczędzić? Na wesele ci będzie potrzeba. Cóż to, o weselu nie myślisz?

Zaczęła milczeć z nieprzyjaznym uporem.

— Żebyście mi do wieczora wrócili.

— Co nie mamy wrócić — krzyknęła zachłystując się.

— Co wam się tak zachciało? W największe żniwa...

— Jutro święto — przypomniała nieśmiało, a po chwili dodała:

— Nigdy nigdzie nie chodzimy. Nic człówek nie oboczy<sup>105</sup>...

— Dobrze, dobrze — przerwał pan niezadowolony.

Nazajutrz, zanim się ściemniło, popowracali wszyscy, którzy chodzili do Brudzewa, oprócz Marynki i bandosa.

Po kolacji zaczęto na nich wyglądać z gniewną zawiścią.

Przy kładzeniu się spać we dworze stwierdzono:

— A Marynka jeszcze nie przysła.

W nocy niektórzy ludzie słyszeli, że psy mocno szczekają koło kapliczki przy szosie.

— Przyszli — mruzcili ci, których to obudziło, i zasypiali z ulgą.

Rano pokazało się, że nie przyszli — i coś cierpkiego zaważało każdemu w sercu. Ludzie mieli złość do tych dwojga za ich lekkomyślność i szczęście.

<sup>99</sup> *jo ta nikumu nie wadze* (gw.) — ja tam nikomu nie przeszkadzam. [przypis edytorski]

<sup>100</sup> *ordynariuszka* (daw.) — pracownica folwarku, odbierająca część zapłaty w formie ordynariów, tj. w płodach rolnych. [przypis edytorski]

<sup>101</sup> *czworaki* (daw.) — budynki mieszkalne dla pracowników folwarku. [przypis edytorski]

<sup>102</sup> *pódziesz* (gw.) — odejdziesz, uciekaj (do psa). [przypis edytorski]

<sup>103</sup> *wiency* (gw.) — więcej. [przypis edytorski]

<sup>104</sup> *lo* (gw.) — dla. [przypis edytorski]

<sup>105</sup> *oboczyć* (gw.) — zobaczyć. [przypis edytorski]

Dopiero koło podwieczorku Marynka i bandos ukazali się z daleka na szosie. Żniwa były jeszcze wszędzie na gwałt. Kosili na trzech polach, na dwóch — żniwiarkami, na trzecim — ludźmi.

Marynka i Słupecki jak państwo, nic się nie śpiesząc, stanęli koło pola. Grabie żniwiarów cięły żółtymi zębami modre niebiosy. Naręcza pszenicy ślizgały się przez niebieską platformę, a suchy terkot sunął brzegiem szeleszczącego zboża. Wielki napis MACCORMICK<sup>106</sup> skakał czarnymi literami po ścierniu, na którym odgniatyły się w zielonej koniczynie wzorzyste ślady żelaznych kół żniwiarki.

Włódark<sup>107</sup> uklonił się przybyszom aż do ziemi.

— Kląnam się jaśnie państwu! — krzyknął i zwrócił się do ludzi: — Dali, powiążta jaśnie państwa, może ta trząchnom sakiewkom.

Nieżyczliwy śmiech pochwalił tę złośliwość.

Kochankowie postali nieco przez honor, a potem prędszym krokiem ruszyli ku czworakom. Naprzeciwko mieszkania Marynki usiedli pod topolą i poskładawszy węzłki, obcierali spocone twarze.

Marynczyna matka wyszła przed sien, i przysłaniając oczy, krzyknęła pytająco:

— No?

Podeszli bez pośpiechu.

— No co? Przyszlimy.

— Ale kiej<sup>108</sup>? — wrzasnęła.

— Jach<sup>109</sup> to, kiej? Bo to mało droga? Zgrzali my się jak nie wiem co. Dalibyśta, mama, czegu się napić. Nie poszliśta na pańskie?

— Adym<sup>110</sup> wyglądała, żeby was przed drugimi zobaczyć.

Wciągnęła ich do chałupy, zamknęła drzwi i załamała ręce. Już zostało zapowiedziane, że Marynka ma się we dworze nie pokazywać. Włódarka też jej nie chcą w pole, bo mówią, że ona tylko patrzy, gdzie się położyć — a robić jej się nie chce. Słupecki ma zaraz odjechać w swoje strony.

Cała ta mowa nie była im do smaku.

— Bez co tyle hałasu? — mówili wzruszając ramionami. — Że się człowiek trochę zabawił? Żeby my co komu zrobili, ale czy to im ubydzie<sup>111</sup>, że ta chto<sup>112</sup> jeden do żniwa raz nie przyszed. Żeby na małem<sup>113</sup> — tak, ale tu?

Lecz gdy matka nie ustawała, popadając w coraz to większą rozpacz — spochmurnieli, a na koniec sami zaczęli nalegać, żeby poszła do dworu za nimi prosić. Gdy matka prosi — kobieta siwa — rzecz się inaczej wyda.

Nie chciała o tym słyszeć. Jeżeli żyją jak psy, niech jak psy idą wiatru po polu szukać. Sami się rządzą — to niech się rządzą.

W takim razie mówi się — trudno. Rozpakowali węzłki i pokazali, co sobie kupili na odpuszcie. On jej glinianego kokotka<sup>114</sup>, kwiciatą chustkę, paciorki i atlasowy fartuch w róże. Ona jemu spinkę do koszuli, czerwony fontaż<sup>115</sup> i dewizkę<sup>116</sup> do zegarka. Pokazał, jak ją nosi — zaczepioną o dziurkę i zatkniętą do pustej kieszeni.

Matce podobał się ten towar, lecz mimo to chwyciła się za głowę:

— Ileśta na to wydali?! Wom dać grosz do pazurów! Wom dać grosz!

Zobaczyła jasno, że gdy ich samych zostawi, pójdą na dziady. Trzeba ich przy sobie mieć i opiekę nad nimi rozciągnąć. Tedy zmieniła swe chęci i kiedy zmierzchało, ruszyła

<sup>106</sup>*McCormick* — marka maszyn rolniczych, od nazwiska wynalazcy żniwiarki Cyrusa Halla McCormicka (1809–1884). [przypis edytorski]

<sup>107</sup>*włódark* a. *włódark* (daw.) — tu: pracownik zarządzający robotnikami rolnymi w folwarku. [przypis edytorski]

<sup>108</sup>*kiej* (gw.) — kiedy. [przypis edytorski]

<sup>109</sup>*jach* (gw.) — jak. [przypis edytorski]

<sup>110</sup>*adym wyglądała* (gw.) — przecież wyglądałam. [przypis edytorski]

<sup>111</sup>*ubydzie* (gw.) — ubędzie. [przypis edytorski]

<sup>112</sup>*chto* (gw.) — kto. [przypis edytorski]

<sup>113</sup>*na małem* (gw.) — tu: w niewielkim gospodarstwie. [przypis edytorski]

<sup>114</sup>*kokotek* (gw.) — kogucik. [przypis edytorski]

<sup>115</sup>*fontaż* (daw., z fr.) — chustka na szyję, wiązana w kokardę. [przypis edytorski]

<sup>116</sup>*dewizka* (daw.) — łańcuszek, na którym wieszono zegarek; dewizkę zaczepiano się na guziku kamizelki, żeby łatwo było wyjąć zegarek z kieszeni. Ludzie, których nie było stać na kosztowny zegarek, nosili sam łańcuszek jako ozdobę. [przypis edytorski]

mężnie do pana. Komornicą<sup>117</sup> była tylko, co prawda, lecz wdową po fernalu, co służył tu lat piętnaście — i nigdy o nic nie prosiła.

Na pana trzeba było chwileczkę pod oknem czekać. Otwarty lufcik skrzypiał w tchnieniach wieczoru. Skrzypiał tak długo, aż serce upadło w starej matce i zapomniała, co sobie po drodze wymyśliła, że powie, aby młodych bronić. Przestraszyła się bardzo, gdy pan wszedł do pokoju i z daleka od biurka zapytał w stronę okna:

— Co tam?

Zaczęła przedstawiać sprawę:

— Nie o mnie chodzi, ale o te dzieci, żeby nie zmarniały — powtarzała i mówiła co chwilę: — Co ja to chciałam powiedzieć?

— No tak. No co? No więc? Jakie dzieci? No więc? — przerywał ciągle pan.

Zbita z tropu tymi słówkami, tłumaczyła się z trudem. Nie prosi o to, by Marynkę przyjąć z powrotem do dworu, lecz niech jej włodarze dadzą chodzić w pole, gdyż inaczej by nie wyżyły. I o Słupeckiego śmie prosić, żeby go pan nie wyrzucał, żeby go nawet na dobre zgodził<sup>118</sup>, to może tę Marynkę pojmie. Dodała płacząc: — I tak już jest na wstyd podana i dziecko mieć z nim będzie.

Pan podniósł krzyk. O niczym nie chciał słyszeć.

— O to mi nie chodzi, z kim kto śpi, tylko żeby robota była zrobiona. Czy oni przestali rozumieć, co to są żniwa? Co to jest, jak deszcz wisi? Że każde ręce, co zbędą, każdy dzień, co go kto zbałamuci, to jakby kto chleba ukradł.

— Co ukradł?! — krzyknęła zmylona, gdyż przez płacz mało słyszała. — Nic nie ukradł! Ale żeby nie wiem co wzieni, żeby się jedno z drugim nożami pożgali, toby nie taki był hałas. O to ludzie mniej pomstujom, jak się kto nienawidzi, ino tego ścierpieć nie mogom, jak się drudzy kochajom. A że nie na czas przyszli, to i świętemu się zdarzy — zakończyła niespodziewanie i pojednawczo.

— Co świętemu, gdzie świętemu?

— W taki upał, na taką drogę — jąkała, obcierając łzy, i wciąż nie mogła sobie przypomnieć, jak ich miała usprawiedliwić.

Pan wychylił się do połowy przez okno i nuże wołać, czy ona nie wie, jak daleko jest do Brudzewa.

Siląc się na spokój, zaczęła rozważać:

— Od figury do Helenówka bydzie wiorst<sup>119</sup> może ze dwie. Od Helenówka zaś do krzyża bydzie ze trzy.

— Co to znaczy? — zaciętrzewił się pan.

— Od krzyża — mówiła w natchnieniu — do krzaczków, kole Borkowskiej granicy — ze dwie. Od krzaczków do ty kapliczki kole Piątku tyż ze dwie, a zaś od Piątku bydzie jeszcze ze dwie mile.

— We łbach wam się pomieszało! Tam wszystkiego nie ma dwu mil — oto jest wasza droga.

Zaczęła po raz drugi, a w miarę obliczania droga do Brudzewa rosła i wydłużała się. Gdy na koniec stara wyraziła podziw, że na dzisiaj zdążyli, pan zamknął okno.

Wtedy postawszy jeszcze śród bladej nocnej pogody, zezwała od ostatnich Marynkę i Słupeckiego, przez których wstyd jeść musi na stare lata. Nagle przypomniała sobie. Miała powiedzieć, że wuj pod Brudzewem był chory i że u niego się zatrzymali. Ale przypomniała za późno.

Wróciwszy do chałupy zastała Marynkę i Janka w swoim łóżku. Gdy usłyszeli, że nic nie wskórała, wyleźli, ubrali się i zaczęli jej skromnie posługiwać. Zadumali się we troje nad swym losem. Jedyńą ulgą stało się to wszystko, co powiedzieli na dwór. Nie pożałowali mu słów. Tyle tylko, że pośmiać się z nich można niekiedy, lecz zrozumieć się z tymi panami na żaden sposób niepodobna. Może nawet lepiej, że Marynka tam służyć nie będzie. Są takie, które się z nimi zżyją — jak choćby Julka Kaczmarków, co ją wzięli do dzieci. Ona jest wszędzie jakby u siebie w domu — i tu jej dobrze w chałupie, i tam. Przerobiła się prawie na pannę, ale Marynka nie taka. Ona tam była pomiędzy nimi jak jakie dzikie ziele. Ma się rozumieć kłopot jest, że im nie chcą darować — trzeba myśleć

<sup>117</sup>komornica — chłopka nie mająca własnej chałupy ani ziemi, płacąca pracą za mieszkanie. [przypis edytorski]

<sup>118</sup>zgodzić (daw. gw.) — przyjąć do pracy. [przypis edytorski]

<sup>119</sup>wiorsta (daw.) — daw. jednostka długości, ok. 1 km. [przypis edytorski]

Obyczaj

Pan

Pozycja społeczna, Chłop

Kondycja ludzka



teraz, co robić. Uradzili jechać w Kieleckie i tam się pobrać, a potem emigrować do Prus albo gdzie.

— Niech ta wszystko zabierom. Niech ta żyć nie dadzom — co zrobiom? Zabróniom to drogi we świat? Abo siebie samego człowiekowi zabierom? Nie zabierom — gorączkowała się Marynka.

— Rząd gorzy<sup>120</sup> zrobi człowiekowi, jak do wojska pogna, na Kapkaz<sup>121</sup> albo gdzie — a i tak nic nikomu nie bandzie. Dadzom ludzie rade kozdej rzeczy — dopełnił Słupecki jej słowa pełne odwagi.

Odwaga jednak na razie nie była potrzebna, bo rzecz się wyczerpała niedługo. Do chałupy Kuźniaków, gdzie Słupecki na dobre już kwaterował, przyszedł wódzarz i spytał szorstko, czy chcą iść do roboty. Gniew pana przemienił się na to pytanie, tak jak wzgardliwa niechęć Marynki przeobraziła się była w miłość.

Ma się rozumieć, poszli. Po drodze Marynka prześpiewała:

— Lniane włosy, lniane włosy, a oczy niebieskie...

oraz

Nie dumej sobie, dziewucho, nie dumej sobie,  
choć ci jo ograniczny, wiem jo o tobie.

Tę pieśń podejmowała kilkakrotnie na nowo. Była to ulubiona śpiewka, której słowami Janek nęcił ją zawsze do siebie.

W tydzień potem żniwa były skończone i zaczęli postanawiać wesele. Słupecki wybierał się w swoje strony na jakie dziesięć dni, żeby dostać pozwolenie od rodziców, gdyż był niepełnoletni.

Pan chętnie zgodził się na ten wyjazd, bo dwór miał dosyć zgorzienia i, owszem, popierał ten ożenek.

Osamotniona Marynka chodziła teraz na warztę do stodoły, gdzie śpiewała od rana do nocy:

Hej, bywaj, bywaj, nadobny Jasiu,  
dawnom cie nie widziała...

Stodoła, ze swymi bladymi krajobrazami w otwartych na przestrzał wrotach, pełna była huku maszyny, szelestu słomy, suchego kurzu. Piec lokomobili<sup>122</sup> stał przed stodołą tuż obok starego kieratu, którego szare drągi zarosły dzikim zieleciem.

Brązowe płaszczyzny maszyny dygotały między sąsiedkami, jej łoskot natężał się i ściszał na przemiany. Snopy odłamywały się z żółtej bryły żyta, a maszyna łykała je, wywalając słomę na odpołną stronę stodoły i tryskając z trzech paszcz zdrojami ziarna.

Głos ludzi podniesiony do krzyku topniał w rytmicznym zgiełku. Nieustającego śpiewu Marynki nikt prócz niej samej nie słyszał. Stąpając po gnącym się zbożu myślała:

— Może do ty<sup>123</sup> poro przyjechoł.

Lecz Słupecki nie wracał. Minęło dziesięć dni, i minęło dwadzieścia. Im dłużej go nie było, tym więcej mieli ludzie Marynce do powiedzenia. Ubolewali, że ten Słupecki nie powróci już więcej, że zresztą przyszło na to już niejednej, o ile się nie chciała szanować. Jędrzek Grabowski, któremu Marynka odmówiła się dać, rzekł jej, że jeśli będzie miała dziecko, to pójdzie chyba za żydowską mamkę do miasta. Bo tu niech nie myśli, że ją który weźmie. Nie, że wianeczek utraciła, ale że wzgardziła tutejszymi chłopakami dla tego przybłądy spod Galicji, dla tego pana na pięciu prętach. Na to ona odrzekła, że ma

Maszyna

Tęsknota, Kobieta "upadła"

<sup>120</sup>gorzy (gw.) — gorzej. [przypis edytorski]

<sup>121</sup>Kapkaz (gw.), własc. *Kaukaz* — Słupecki, pochodzący spod Kielc, przypomina doświadczenia z zaboru rosyjskiego, gdzie chłopów brano do wojska (po kilku z danej wsi, drogą losowania) nawet na 25 lat; służba wojskowa odbywała się często w odległych regionach Imperium Rosyjskiego. [przypis edytorski]

<sup>122</sup>lokomobila — daw. wielofunkcyjna maszyna rolnicza: silnik spalinowy na kołach, używany do napędzania innych maszyn, np. młockarni. [przypis edytorski]

<sup>123</sup>ty (gw.) — tu: tej. [przypis edytorski]

ich wszystkich za nic i wołałaby „z kiem drugim” wianek na ostatnim gnoju, na wyrku stracić niż z nimi na jedwabiach i przy oltarzu. Pocieszona w swej boleści tymi słowami czekała dalej cierpliwie, wychodząc wieczorem do kapliczki przy szosie. Pomału zrobiło się tak, że wychodzili i drudzy.

— Co tam tych ludzi tak siedzi przy kapliczce? — pytała pani stróża, wracając z nadwieczornego spaceru z gośćmi.

— Tak ta chodź patrzeć, czy ten Słupecki nie idzie.

Nie szedł. Zebrali chmiel, wykopali kartofle i buraki — i nadszedł dzień odjazdu bandosów. Słyszając ich wesołe hałasy, kiedy na wóz siadali, Marynka zapłakała. Było to jakby zrywała się ostatnia nitka, po której mógł tu przybyć.

W tydzień potem wszelako przybył — zdrożony i nie bardzo wesoły. Ona zrazu nic nie widziała. Przez dzień cały nuciła:

A już mi go nie zganicie,  
bo go kocham nad swe życie.

Narwała kaliny i ustroiła się w nią. Kiedy tego nie zauważył, przestała śpiewać i zapytała, co mu się stało. Może mu było markotno, że został sam w obcej stronie bez swoich?

— Nie.

— No to co?

Powiedział, że nic. Tedy<sup>124</sup> ponownie zapytała: co? Pomilczawszy wyznał, że tam w domu pokonać musiał niemałe trudności, zanim rodzice się zgodzili, zanim papiery dostał.

— Bez<sup>125</sup> co? — pytała spłoszona.

Bez to, że mieli tam dla niego upatrzoną dziewczynę, jedynaczkę na sześciu morgach<sup>126</sup>. Musiał się ze wszystkimi pożreć, a i tak by nic nie sprawił, żeby nie ksiądz. Ksiądz mu pomógł, bo powiada, dziecko tam będzie miał.

— Przez tę głupią miłość postradałem los. Bo nos je syścioro<sup>127</sup> na dwie morgi gruntu — tymi słowami zakończył Słupecki swoje wyznanie.

Szli wtedy z roboty przez dworski ogród, ku dziurze w dzikim agrestie, gdyż tak było bliżej. Z boku przez płot, wynurzający się z grubej zasy opadłych liści, dawał się widzieć ogień w kuźni i słychać było bicie młotem: w żelazo cienie, a w kowadło grubiej. Liście zesuwały się z drzew i padały na ziemię młaszcząc cicho.

Pierwsze chęci Marynki były takie, żeby zakrzyczeć i zapłakać. Lecz po chwili zrobiło się w jej sercu mocno inaczej. Uczyniło się tak jakby niecne sprawy z ową dziewczyną — która niech się udławi swymi sześciu morgami — były ich wzajemnym wspólnym kłopotem.

Namyśliła się i rzekła poważnie:

— Żeli<sup>128</sup> się zgodziemy na ordynarie<sup>129</sup>, tutek<sup>130</sup> albo gdzie bądź, to poczekaj... ile też bydziema<sup>131</sup> mieli?

Odparł ponuro, że jeszcze żaden ordynariusz nie dorobił się sześciu morgów gruntu.

Zaprzeczyła, że tak mówić nie można, gdyż dorabiają się niekiedy. Ale żeby było pewniej — a też prędzej — można zrobić inaczej. Wynurzyła się ta sama myśl, którą mieli już dawniej, kiedy wrócili z odpustu. Marynka wyraziła ją krótko:

— Pódziema<sup>132</sup> do Prus. Tam się ludzie roz dwa dorabiajom. Aby ino zima zesła, to już możemy jechać. Dziecko się urodzi w lutym... nie — w marcu. Jak je odkarmie, to się je u mamy ostawi i przyjadę do ciebie. Może się tam i zimowom porom jako

<sup>124</sup>tedy (daw.) — więc. [przypis edytorski]

<sup>125</sup>bez co (gw.) — przez co; z jakiego powodu. [przypis edytorski]

<sup>126</sup>morga a. mórg — daw. jednostka miary gruntu; różna w zależności od obszaru: na ziemiach polskich w XIX w. było to ok. 0,5ha. [przypis edytorski]

<sup>127</sup>nos je syścioro (gw.) — nas jest sześcioro. [przypis edytorski]

<sup>128</sup>żeli (gw.) — żeżeli. [przypis edytorski]

<sup>129</sup>ordynarie, właśc. ordynaria — produkty rolne, otrzymywane przez robotników rolnych od właściciela folwarku jako część wypłaty. [przypis edytorski]

<sup>130</sup>tutek (gw.) — tutaj. [przypis edytorski]

<sup>131</sup>bydziema (gw.) — będziemy. [przypis edytorski]

<sup>132</sup>pódziema (gw.) — pójdziemy. [przypis edytorski]

robota nojdzie<sup>133</sup>, to ostaniemy całki<sup>134</sup> rok, może i pare lat. Ani się obejrzysz, jak potem przyńdziesz nazod<sup>135</sup> i pobudujemy tu gdzie dom. I grunt bydziemy mieli jak Dąbek z Poklinkowa, co tu był pierw za parobka, a tera jaki pan. Jak do kościoła idzie, to trzy zygorki<sup>136</sup> na siebie kładzie. Wszystko z Prus.

Ta wiadomość rozproszyła przygnębienie Słupeckiego.

— Trzy zegarki! — wykrzyknął. — Ty mos<sup>137</sup> głowę, dziecuchno — dodał z uznaniem. Zaczął sam szukać czarnych stron tamtego związku.

— A tam, jakby sie familija zaczena<sup>138</sup> wdawać... nie byłoby mi słodko. A jesce z takim zonkom<sup>139</sup> nie bardzo ładnom, co mnie do nij<sup>140</sup> do łózka nie ciągnie.

Marynka zastrzegła się niepewnie:

— O urodę ta nie tak idzie, jak o to, czy porzonno<sup>141</sup>... dobro... gospodararno...

Słupecki poznał po wszystkim, co mówiła, że ich miłość rozległa służyć im będzie do nowych rzeczy, do budowania domu i gospodarzenia.

— Tak mi lekuchno na sercu — rzekł gwałtownie, a gdy schyliła się, aby przeleźć żywopłot, pociągnął ją wstecz na wonne szmerające listowie, gdzie sobie sprawili zawsze tak samo pożądane wesele.

To zaś, które nakazywały obyczaje, a Bóg uświęcał, zbliżało się też nieleniwie. Tak jest. Wesele miało być w Rusocinie<sup>142</sup> jeszcze przed zimą.

Druhny szykowały pazłótka, a młodziani chustki i dyscypliny. W takim rynsztunku w ostatni czwartek poszli do dworu i po ludziach zapraszać.

Marynka nie mogła wytrzymać przy robocie i z daleka śledziła ich, jak szli czarni i wymuskani po drodze koło pańskiego ogrodu. Spadłe liście jeszcze nie były kruche, leżały warstwa na warstwie mokrymi żółtymi deseniami. Z ich obrusa złotego występowały drzewa, rozrzucając po niebie gałęzie lekkie i puste, pełne poszczękiwania kawek. Weszli w bramę — widziała ich jeszcze pod kasztanami — teraz musieli już wkraczać do pokoju pana. Gdziekolwiek przyszli, wszędzie tak samo jednym głosem mówili:

— Przechodzą nasze nogi przez wasze progi, abyśmy wos prosili na ten akt weselny, na wesele, na wesele, to jest nie tak na wiele i na czas krótki, na sądek wódki, na beczkę piwa i na chleba trzy pieczywa, na dwa rżanego, jedno pszennego, na kapłona warzonego, na parę kuropatw, żeby młody pon młode panne dopad...

Zapraszająca mowa przedłużała się, a gospodarze dworu słuchali w milczeniu, cierpliwie aż do końca. Oprócz młodzianów do dworu poszła jeszcze matka prosić, czyby wesele nie mogło przyjść potańczyć do stancji koło kuchni, tam gdzie Marynka spała, kiedy służyła. U nich w mieszkaniu za bardzo ciasno. Pan pozwolił. Ma się rozumieć — wszystkie wesela tam tańczyły.

— Ładnej żeście się panny młodej dochowali. Ani tańczyć pewno nie będzie mogła — zażartował niedbale.

Stara wyprostowała się, duża i siwa, i rzekła surowo:

— Panu Bogu o czas nie idzie, bo je<sup>143</sup> wieczny, ino<sup>144</sup> o rzecz. A rzecz jest — jak być powinna.

Tak też myśleli wszyscy i ludzi naschodziło się na to wesele, jak rzadko bywa na które.

Prawą miłość dziewczyny i młodzieńca święcił tu ksiądz i nad prawą tą miłością zabrzmiały odwieczne pieśni, których nie poważy się nikt zaśpiewać w żadnym zwyczajnym czasie.

Żona, Miłość spełniona

Seks, Pożądanie, Miłość spełniona

Wesele, Obyczaje

Kobieta "upadła"

Panna młoda

Śpiew

<sup>133</sup>nojdzie (gw.) — znajdzie. [przypis edytorski]

<sup>134</sup>całki (gw.) — cały. [przypis edytorski]

<sup>135</sup>przyńdziesz nazod (gw.) — przyjdiesz z powrotem. [przypis edytorski]

<sup>136</sup>zygorek (gw.) — zegarek. [przypis edytorski]

<sup>137</sup>mos (gw.) — masz. [przypis edytorski]

<sup>138</sup>zaczena (gw.) — zaczęła. [przypis edytorski]

<sup>139</sup>zonkom (gw.) — żonką. [przypis edytorski]

<sup>140</sup>do nij (gw.) — do niej. [przypis edytorski]

<sup>141</sup>porzonno (gw.) — porządna. [przypis edytorski]

<sup>142</sup>Rusocin — wieś stanowiąca miejsce akcji wielu opowiadań Marii Dąbrowskiej, jako pierwowzór wskazywany jest Russów, wieś w woj. wielkopolskim, położona ok. 10 km na płn. od Kalisza, w której autorka urodziła się i spędziła dzieciństwo. [przypis edytorski]

<sup>143</sup>je (gw.) — jest. [przypis edytorski]

<sup>144</sup>ino (gw.) — tylko. [przypis edytorski]

Marynka śpiewająca — milczała teraz pogodnie i płakała, jak płakać powinna każda, gdy o północy kobiety zajęczały nad nią jej ostatni paniński śpiew:

Wy, stążeczki, stwijecie się,  
ty, czepyszku, ostwijej się...

i gdy wysoki głos skrzypiec zabrzmiał z drugiej izby starą pieśnią, niemającą początku ni końca:

O chmielu, chmielu — ty bujne ziele...

A gdy pieśń ta minęła — nadeszła po niej późna jesień i oto siedzieli po robocie razem z matką w jej komorniczej izbie, myśląc cierpliwie o latach, które przyjdą.

Z marzeń tych dźwignęło Marynkę wspomnienie kapusty.

— Gdzie mota<sup>145</sup>, mama, ten wielgi<sup>146</sup> nóż? — spytała.

— A na co ci?

— Bośta te kapuste na zagonkach ostawili, a tu sie jakby na mróz miało. Wezne<sup>147</sup> te kapuste i wytne.

Zagonek, przyznany komornicy w drodze łaski, był ich całym bogactwem.

— Po nocy bydziesz ciąć?

— A kiej ta robić lo<sup>148</sup> siebie, jak nie po nocy?

— Pocej<sup>149</sup> — to ci pomoge — rzekł jej mąż.

— Weźta opalkę<sup>150</sup> i wnet przychodźta, bo zaro<sup>151</sup> poliwkę<sup>152</sup> nastawiom.

Ostra noc późnojesienna rozpościerała swą czarną pogodę nad chałupami, a lekkie gwiazdy skrapiały ciemność.

Przez żółte okienka widać było ludzi, jak pochylają się nad nędznym stołem i w towarzystwie swych wielkich cieniów chodzą po izbach.

Przekroczywszy drogę, małżonkowie zgięli się nad surowo pachnącą ziemią i wyłąmując spod noża zimne kule kapusty, obierali je z pierwszych liści, a liście skrzypiały i trzeszczały im w palcach.

Rodzina, Miłość spełniona

Czas, Kondycja ludzka

Noc

<sup>145</sup>*mota* (gw.) — macie. [przypis edytorski]

<sup>146</sup>*wielgi* (gw.) — wielki. [przypis edytorski]

<sup>147</sup>*wezne* (gw.) — wezmę. [przypis edytorski]

<sup>148</sup>*lo* (gw.) — dla. [przypis edytorski]

<sup>149</sup>*pocej* (gw.) — poczekaj. [przypis edytorski]

<sup>150</sup>*opalka* (gw.) — tu: duża płócienna torba. [przypis edytorski]

<sup>151</sup>*zaro* (gw.) — zaraz. [przypis edytorski]

<sup>152</sup>*poliwka* a. *polewka* (gw.) — zupa. [przypis edytorski]

---

Wszystkie zasoby Wolnych Lektur możesz swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać pod warunkiem zachowania warunków licencji i zgodnie z **Zasadami wykorzystania Wolnych Lektur**.

Ten utwór jest udostępniony na licencji **Creative Commons Uznanie Autorstwa - Na Tych Samych Warunkach 3.0.PL**.

Wszystkie materiały dodatkowe (przypisy, motywy literackie) są udostępnione na **Licencji Wolnej Sztuki 1.3**. Fundacja Wolne Lektury zastrzega sobie prawa do wydania krytycznego zgodnie z art. Art.99(2) Ustawy o prawach autorskich i prawach pokrewnych. Wykorzystując zasoby z Wolnych Lektur, należy pamiętać o zapisach licencji oraz zasadach, które spisaliśmy w **Zasadach wykorzystania Wolnych Lektur**. Zapoznaj się z nimi, zanim udostępnisz dalej nasze książki.

E-book można pobrać ze strony: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/dabrowska-dzikiem-ziele>

Tekst opracowany na podstawie: Maria Dąbrowska, Pisma wybrane. Opowiadania, fragmenty, dramaty, utwory dla dzieci, wyd. Czytelnik, Warszawa 1956

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>). Reprodukacja cyfrowa wykonana przez Fundację Nowoczesna Polska z książki udostępnionej przez Aleksandrę Sekułę.

Opracowanie redakcyjne i przypisy: Dorota Kowalska, Marta Niedziałkowska, Paulina Choromańska.

ISBN 978-83-288-0177-6

*Wesprzyj Wolne Lektury!*

Wolne Lektury to projekt fundacji Wolne Lektury – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

*Jak możesz pomóc?*

Przeznacz 1,5% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Wolne Lektury, KRS 0000070056.

**Wspieraj Wolne Lektury** i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przeznacz darowiznę na konto: [szczegóły na stronie Fundacji](#).